

Tekst i zdjęcia:
Marcin Sanetra

Szamanizm w katolickim kościele!

Pickup, a na pace trzech Polaków, Kolumbijka, dwie Niemki bliźniaczki, Kanadyjczyk, Szwajcarka oraz labrador o wdzięcznym imieniu Kinich (czyt. Kinicz). W roli kierowcy-przewodnika, zapoznana dzień wcześniej, Meksykanka Valentina.

Tak zaczęła się nasza pełna wrażeń, zachwytu i zadumy podróż do małej indiańskiej miejscowości San Juan Chamula.



Chamula to kilkutysięczne gminne miasteczko oddalone o 25 kilometrów od większego miasta San Christobal de las Casas. Zamieszkiwane przez Indian Chamula, posługujących się dialektem Tzotzil (jest to jeden ze znanych dialektów Majów), słynie z obrzędów religijnych, jakie odbywają się w pobliskim kościele.

Fot. 1. Główny plac w San Juan Chamula.

Po półgodzinnej jeździe zatrzymujemy się na wzgórzu, gdzie rozciąga się widok na miasteczko. Symetrycznie rozłożone ulice zbiegają się w centralnym miejscu – tętniącym kolorami placu, gdzie Indianie w ludowych strojach handlują warzywami, owocami i zwierzętami.

W drodze do centrum towarzyszy nam gromada dzieci ubranych w tradycyjne stroje Indian Chamula. Dziewczynki noszą kolorowe bluzy i utkane z grubej czarnej wełny spódnice. Chłopcy, ci już bardziej podążający za modą, ubrani w t-shirt'y. Dzieciaki biegają wokół nas prosząc o kilka peso, bądź kupno własnoręcznie wykonanych ozdób (opasek, plecionych pasów lub bransoletek). Po skierowaniu w ich stronę obiektywu zasłaniają twarze lub uciekają na wszystkie strony.

Na odgrodzony murem teren kościelny wchodzi się przez kolorową bramę. W pół drogi do drzwi kościoła usytuowany jest krzyż. Jeszcze kilka kroków i stoimy przed bogato dekorowanym wejściem do świątyni. Potężne, pięknie rzeźbione drzwi. Jaskrawo pomalowane obramowania, przystrojone suszonymi kwiatami i zbożami sprawiają wrażenie, że trafiliśmy na obchody jakiegoś lokalnego święta.



Fot. 2. Brama wejściowa na teren kościoła. Na pierwszym planie dzieci Chamula sprzedające pamiątki.



Fot. 3. Tęczowe kolory bramy wejściowej do kościoła.

W międzyczasie dochodzą do nas liczne zapachy - zapach igliwia sosnowego niczym z mazurskiego lasu, zapach parafiny z płonących świec, a także różnorodnych ziół wykorzystywanych w roli kadzideł przy rytualnych obrzędach.

Pierwsze kroki, po usianej świecami i wysypanej igliwem podłodze, bardzo delikatne i niepewne. Powoli posuwam się do przodu, rozglądając się na wszystkie strony. Dopiero po dłuższym przebywaniu w kościele z uśmiechem na twarzy stwierdzam, że niezwykle komicznie wyglądają osoby po raz pierwszy wchodzące do kościoła. Niczym dzieci, które coś przeszkrobały - nisko na nogach, cichutko skradające się postaci z rozbieranym wzrokiem próbujące ogarnąć wszystkie dziwy, w które obfituje wnętrze kościoła pod wezwaniem San Juana Baptisty (św. Jana Chrzciciela).

Kościół w środku jest pozornie pusty, nie ma w nim ław ani krzeseł dla wiernych. Przydymione od setek płonących świec ściany wytarzają nastrój tajemniczości. Mnóstwo świeżych i suszonych kwiatów przyozdabia ściany i ołtarz. Po dwóch stronach kościoła rozstawione na całej długości gabloty z postaciami świętych. Figurki przyodziane w ciężkie stroje i przyozdobione kolorowymi dodatkami. Na piersi każdego świętego obowiązkowo przynajmniej jedno lustro. Jego zadaniem jest ustrzeżenie przed dostaniem się do wnętrza świętego złych duchów, które mogły opętać nieszczęśnika przychodzącego się pomodlić.

Wierni rozstawieni są po całym kościele, w grupkach, całymi rodzinami. Głowa rodziny stoi i rytmicznie, niczym mantrę, powtarza słowa modlitwy. Reszta siedzi, popija zgromadzone wokół napoje (Coca-Cola, Fanta, Sprite, dla pełnoletnich lokalnie wytwarzana wódka zwana *posh* (czyt. posz)). Dzieci kręcą się, biegają po kościele, co chwilę wracając po kolejny kęs jedzenia i łyk, posiadającej magiczne właściwości, coli. Nie przeszkadzają nawet melodyjki komórek, które od czasu do czasu rozbrzmiewają wewnątrz kościoła.



Fot. 4. Dzieci bawiące się w pobliskiej kapliczce.

Krótką rozmową i można wracać do obowiązków.

Nie pasująca do naszych wyobrażeń atmosfera kościelnej biesiady, ku naszemu zdziwieniu,

przeradza się w jeszcze bardziej niesamowite zdarzenie, kiedy to z leżącej obok siatki zostaje wyciągnięty pęk ziół oraz czarny kogut.

Mistrz ceremonii – szaman, po odprawieniu stosownych modłów, bierze zioła i przypala je nad świecami, a następnie kolistymi ruchami okadza klęczącą przed nim osobę. Czynność tę powtarza kilkakrotnie, po czym ponawia wypowiedane w lokalnym dialekcie słowa modlitwy. Następnie przychodzi kolej na koguta. Ptak również wędruje wzdłuż ciała, jak mniemam, uzdrawianej osoby. Chwilę później mocny uścisk na karku koguta, szybki ruch ręką, kilka sekund szamotaniny i tym razem już martwe zwierzę ponawia rytualny taniec.

Przez dłuższą chwilę staliśmy nie wierząc w to, co przed chwilą zobaczyliśmy. Rozglądam się i widzę ten sam wyraz zdziwienia i zaskoczenia na twarzach moich znajomych. Chyba nikt z nas nie spodziewał się takiego zakończenia.

Niesamowita magia tego miejsca zauroczyła nas wszystkich. Kościół San Juan Chamula to miejsce niesamowitych kontrastów, gdzie miesza się znana nam dobrze kultura chrześcijańska z mocno zakorzenionymi, sięgającymi setek lat wierzeniami Indian. Mistycyzm panujący wewnątrz kościoła zachwyca i zmusza do chwili zadumy. Ciśnie się na usta pytanie, w jaki sposób wierzenia tych ludzi przetrwały do XXI wieku? I w końcu jak długo będziemy jeszcze mogli podziwiać sposób, w jaki ci ludzie gorliwie i z pełnym przekonaniem odprawiają swoje obrzędy.



Fot. 5. Krzyż przed kościołem. Na płytkach wizerunek Jana Pawła II i Matki Boskiej z Gwadelupy.